

Zbieracze i „zbieracze”

Pytają czasami znajomi: „Pokazujesz swoje zbiory wszystkim, wystawiasz je, publikujesz. Czy nie boisz się złodziei?” Oczywiście, że się boję. Ale czy to znaczy, że należy dać się steroryzować bandycie? Czy należy wyłączyć te, choćby skromne obiekty z normalnego obiegu kultury dlatego, że są u nas – jak i gdzie indziej zresztą – barbarzyńcy, którzy potrafią niszczyć, np. bezcenny sarkofag św. Wojciecha, by go przetopić na srebro? To są pytania retoryczne. Normalne społeczeństwo musi mieć stały kontakt z przejawami kultury, bo bez tego zdziczeje (obserwowałem ten proces wprost klinicznie, w miarę coraz bardziej upodlających warunków życia w obozie podczas okupacji). Równocześnie zaś, żyją przecież wśród nas osoby, które tej kultury nie potrzebują, nie szanują jej, za nic mają normy społeczne i uważają – jak w tej satyrycznej piosence – że tylko „to jest ważne, co je moje”. Dlatego sądzę, że posiadane dzieła powinny być udostępniane, a walkę ze złodziejami i bandytami trzeba zostawić tym, którzy w tej walce mają jakieś szanse, to jest tzw. służbom porządkowym.

Tyle, że ta świadomość konieczności powszechnego obiegu kultury-strachu, rzecz jasna, nie likwiduje. Szczególnie, jeśli zbieracz posiada nie skromne przedmioty secesyjne, ale istotnie bardzo cenne obiekty, szczególnie zaś obrazy. Zmarły już pan P. Lwowianin z Górnego Śląska, właściciel jednej z najważniejszych galerii malarstwa polskiego, zwierzał się, że od paru dziesiątków lat nie wyjechał na urlop, bo opuszczenie mieszkania choćby na parę dni i tak nie dałoby mu spokoju, nie pozwoliło na wypoczynek.

Przed kilkunastu laty odwiedziłem kolosalny apartament przy ekskluzywnej avenue Foch w Paryżu, należącej do niezwykłego już dziś przemilętego „pana Romana”, ostatniego z historycznego rodu książąt Sanguszków. Był on uważany za najbogatszego spośród współczesnych Polaków. W swoich rozległych dobrach w Ameryce Południowej, także w depozycie w Metro-

politan Museum w Nowym Yorku, wreszcie w swej siedzibie paryskiej przechowywał ks. Sanguszko prawdziwe arcydzieła sztuki dawnej. Pochodziły one przede wszystkim z imponującego zamku w Podhorcach oraz z pałacu w wołyńskiej Stawucie; wywiezione były z kraju jeszcze na-

wany w 1699 r. przez François de Troy. Na telefoniczne i listowne zapytanie otrzymałem prawdziwie serdeczne zaproszenie i mogłem nasycić oczy pięknym tego obrazu. I niewielu innych. Mieszkanie bowiem było wprawdzie takie, że można po nim jeździć motocyklem, a bogactwo właścicie-



François de Troy. Portret Jakuba Sobieskiego, 1669

długo przed wybuchem wojny. Rzeczy, które zdobyły pałac w Gumniskach (znacznie skromniejsze od tych z siedzib kresowych) pozostały na miejscu. Dziś stanowią własność Muzeum Okręgowego w Tarnowie. Otóż w Paryżu znajdował się m.in. interesujący mnie wówczas cudowny portret Jakuba Sobieskiego, królewicza, malo-

ła, mimo całej skromności i prostoty jego zachowania i wyglądu, nie dawało się ukryć – ale obrazów tam prawie nie było. Na ścianach wisały eleganckie, stylowe ramy, czasem wielometrowej wielkości, ale puste. – *Obrazy trzymam w sejfie* – poinformował Pan Sanguszko – *Po co kusić li-cho?* – Zachnąłem się – Czy naprawdę nie ▶

dokończenie na str.15

szkoda pozbawiać się widoku tych wszystkich cudowności? Przecież gołe ściany działają tylko przygnębiająco. Pan Sanguszko uśmiechnął się, tym swoim charakterystycznym smutnym uśmiechem (bowiem życie osobiste miał skomplikowane i trudne) i powiedział, że w Paryżu przebywa rzadko. Ale po prawdzie, i w swej siedzibie brazylijskiej miał wówczas, jak mi się zdaje, mało co, np. wielkie i wspaniałe płótno „Miłosierny Samarytanin”, które do niedawna uchodziło za młodzieńcze arcydzieło Anthonisa Van Dycka, a obecnie uznane zostało za bodaj główne dzieło młodego Jacoba Jordaensa (tak zresztą było zawsze notowane w inventarzach zamku podhoreckiego). Zostało ono przed kilku laty zreprodukowane na brazylijskim znaczku pocztowym, może więc było raczej wystawione w muzeum jako depozyt, a nie pozostawiało w prywatnym domu? Bo słynne sanguszkowskie dywany (perskie XVII-wieczne, z typu zwanego „polskimi kobiercami”) p. Sanguszko wypożyczył niegdyś Muzeum Miejskiemu w Nowym Jorku. *Tak się na to napierał kustosz, tak koło nich chodził, że się zgodziłem dać im je w depozyt. Zbudowali dla nich specjalny pawilon i tam je eksponują. Upomniałem się o ich zwrot, uważając, że 20 lat to już chyba dosyć. Ale ten kustosz miał tak zabawnie zdumioną minę, dziwiąc się, iż mogą uznać, iż się już na nie napatrzył do woli – że mu powiedziałem, żeby jeszcze trochę je potrzymał* – wspominał pogodnie ks. Roman Sanguszko.

Ale inni zbieracze obrazów zachowali je przy sobie, a p. Wojciech Siemion nawet udostępnił je jako Więską Galerię Sztuki w odbudowanym przez siebie dworze w Petrykozach. Piękny i kosztowny zespół zabytkowych sreber należący do wielostronnej kolekcji p. Franciszka Starowieyskiego pokazano publicznie w Muzeum Sztuki Złotniczej w Kazimierzu Dolnym. Świetne zbiory nowoczesnego malarstwa polskiego, należące do p. Wiesława Ochmana w Warszawie, ze znakomitym wielkim zespołem kompozycji Czesława Rzepińskiego, także nie są trzymane pod korcem. Nie ma prawie retrospektywnej wystawy, na której brakuwałoby obrazów z tej kolekcji, a organizowane też były (na cele społeczne) specjalne pokazy połączone z koncertami.

... Skromni i pyszni, hojni i skąpi, uczeni, artyści i dziwacy, prości i snobi. Powtarzam: ich wszystkich łączy pewne zamię wielkości, zasługi. Dlatego warci są, by o nich pisać. A także, by starać się ochronić opinię o szlachetnych poczynaniach kolekcjonerów przed śmiesznością rozmaitych pseudozbieraczy, których się namnożyło, a którzy czasem wykazują pretensje i aktywność wprost przeciwną do zasług. Nie potępiam ich, skądże, ale wołałbym, żeby się nie nazywali kolekcjonerami, tylko jakoś inaczej, mniej zobowiązująco. Jakże byłbym rad, gdyby i oni, i ludzie nie porażeni kolekcjonerstwem, zrozumieli, że we wszelkich dziedzinach działalności człowieka istnieje hierarchia wartości, że ilość nie przechodzi w jakość.

Andrzej Ryszkiewicz

i Stanisława Daniłowicza z 1693 r., autorstwa A. Schlütera. Wykonane w czarnych marmurach z alabastrowymi rzeźbami



i elementami dekoracyjnymi, które uległy dużym rozfragmentowaniom. Większość detali, np. głów nie zachowała się. Rekonstrukcja brakujących części (obecnie w technice narzutu gipsowego) jest możliwa dzięki zachowanym w archiwach lwowskich świetnym fotografiom z okresu międzywojennego;

- obramieniu chrzcielnicy z XVII w., z ciemnobrunatnych marmurów;
- malarstwie ściennym z XVII w., odsoniętym w czasie demontażu obrazów batalistycznych.

W minionym okresie obroniono również (na uczelni w Warszawie) dwie prace magisterskie. Jedna dotyczyła konserwacji figury bp. św. Stanisława, patrona hetmana Stanisława Żółkiewskiego, druga tablicy wotywniej poświęconej rocznicy bitwy pod Wiedniem, wykonanej w technice *pietra dure*. Figura biskupa, po upadku z dużej wysokości, została rozfragmentowana na kilkadziesiąt części. Część z nich do momentu podjęcia konserwacji zaginęła. W wyniku żmudnych prac całkowicie



kropielnica

zrekonstruowana figura powróciła na pierwotne miejsce.

Janusz Smaza
kierownik Katedry Konserwacji i Restauracji Rzeźby Kamiennej i Elementów Architektury ASP,
organizator i kierownik praktyk